

godło: „gnom”

Moja odległa prowincja

Jak co dzień wyłaził z błota przy mostku, odgarniając faszynkę, kiedy dziewczyny po ciężkim, gorącym dniu wracały pokryte potem niby kapiącą ospą. Niosły kosze pełne wiórów słonecznego złota i śmiertelniki pozbawione barwy, by siać je przed krzyżem albo przed świątkiem, co się wpół drogi rozkraczył żałośny. Wyłaził z bagna utyłtany szlachetnym szlamem, cały nagi i roześmiany przy tym, ręce ku pannom wyciągał - bagiennik, strach na dziewczynskie oczy, zawsze jednakowo rozlatane, z zadziwienia rozszerzone na trzy krągłości złotówki, by nie przesadzić, takie wielkie ze zgorzenia, obawy i rozhukanej uciechy. Znały go dobrze, bo nieraz na nie dybał, ale koślawiec był, nogi miał poplątane, więc daleko zagonić ich nie mógł. Zębiska miał za to mocarne, włosy jak kaczan kukurydzy, tyle że zmierzwione w błotnej kąpieli i lepkie. Wyszczrzył je teraz i pognał z krzykiem okropieńskim przy wtórze tych gładkołydkich panien. Pomykały przed nim, kosze uplecione porzuciwszy na ścieżce. A z koszy zamiast promieni słonecznych, powiązanych w wianki, sypały się dymiące mrowiska i jadowite jeżyny albo kłębek zatrutego jeża. Wpadł na to rozpędzony, raniąc się niemal śmiertelnie, więc zaprzestał gonitwy. Na dziś przecież swe zadanie wypełnił. Zaspokojoyony czynem, wykąpał się tym razem w czystym piasku i założył ukryty w zaroślach elegancki garnitur.

Tego dnia późnym wieczorem w leniwym miasteczku rozciągniętym jak nieruchoma glizda na dwu nierównych pagórkach, miejscowy aptekarz - jeszcze się nie domyślacie, kto to taki? - zmieniał przy kontuarze aptekarzową. Tego samego dnia, powiadam, zanim się niebo rozstąpiło przed sceptykami, by im pokazać wielką figę opatrności, trzy wyrostki majstrowały przy torach kolei żelaznej. Od zamierchłości zawsze o 18⁰⁹ zwykł był pędzić tą drogą elektryczny ekspres gdzieś z centrum wielkiego kraju na jego odległe rubieże. Ryży Stefcio rej wodził, bił w pysk regularnie Maćka od Borysów i grubego Wiączka, by nie zdążyli sami czegoś wymyślić. Wszyscy trzej zresztą nie mogli pojąć swymi kukułczymi mózgami, że skoro was im się rzadki puścił tam, gdzie powinien, a dziewczyny rezolutnie pokazywały im gołe zęby w biegu, to przyszedł ich czas, aby majtki krótkie zamienić na

długie. Tymczasem uznali, że trzeba dać światu znać o sobie i nieźle się w końcu zabawić. Zrobili więc cudaka, w samej rzeczy podobnego do ludzi i na torowisku równiutko ułożyli. Zaczaili się w rowie, odmawiając zdrowaśki z wielkiej pobożności, by swą cierpliwość Wiekuistemu okazać.

Szły też modły w niebo z drugiej strony. To katecheta łątał nad grobem jakiegoś mądrałę oberwańca za to, że zanurzony w kale grzechów, zwiął z tego padołu, nim zdołał zarobić na uczciwy pogrzeb. Katecheta łątał, pokorne oczy wraził w niebo, a wskazującym palcem godził w delikatny pierzasto-kłębiasty miękisz chmur, gdzie zwykł przysypiać święty Piotr leniwy, zbyt łatwowierny klucznik Pańskiego stolca. Dzień utrudzony sobą łeb przechylił we skłonie. Z białego piasku po swym rytualnym czynie otrzepywał się wesoły bagiennik, w zapłociach wszawa Jargulka macała jaja kurom i międliła w gębie straszliwe przekleństwa, a ten jej spowolniały i zawsze zgodny Maciej wbijał ostatni palik przy chwiejnym parkanie. Wyrostki ziewały w zaczajeniu na rzecz ostateczną, katecheta nadal lżył biedaka, któremu udało się zemrzeć ze zgryzoty nad wciąż wzrastającą wartością gorzały. Spotworniały pędem ekspres elektryczny gnał jak strzała Zenona z Elei, ukazując cały bezsens wykonywanego pośpiechu. Jakaś parka w stogu siana na sąsiedniej łączce dochodziła właśnie z niemałym mazołem, szczypiąc się w przyrodzenia. I tak to wszystko zmierzało ku czemuś, czerpiąc siłę z nadziei, że wreszcie to się spełni, nie rozumiejąc, że właśnie sens największej i najmniejszej aktywności wynika z jej niedokończenia, z owego czekania na to, co nadciąga, z trwania. Powiadam wam, nie miał ów racji, który się dał pochować. Dopiero w skończoności jest nieskończoność - śmiertelnie nudna, jak śmierć z nudów. Zaczęła ona ogarniać chłopaczków w rowie i przyszła do nich nie od torowiska, ale od zaziewanej gęby, co się sama rozwarła po czterdziestu pięciu minutach opóźnienia ekspresu, który miał świetliście przelecieć przez utajone w czekaniu prowincje. I mógłbym wam tak jeszcze dużo mówić i wszystko ładnie zakończyć, upiększyć, zaskoczyć niespodziewanym rozwiązaniem, ale nie lubię ponad potrzebę rozstawać się z prawdą. Wyobraźcie więc sobie bagiennika od wielu godzin siedzącego w trzęsawisku. Umościł się w bloku i wierzy, że jeszcze raz mu się uda wydobyć i nie zatonać, i co ważniejsze - wierzy w to, że przyjdą dziewczęta urodne, jeszcze nieskalane, które spąsowić można, zobaczą jego błotny taniec, usłyszą jego członków wiatr, i osłupieją z przerażenia, i padną na kolana, i prosić będą o to, by zechciał, co by tylko zechciał. A on – tak to sobie wyobraża - nieufający omnipotencji rozumu człowieka, sposobem swojej niczym nieograniczonej poetyckiej woli rozedrze niebo na dwie wielkie połowy i wbrew wszystkim

sceptykom wyciągnie spomiędzy wezbranych wilgotną słodyczą obłoków niedojrzały, zielony kwiat cytrynowego drzewa. I poda im czystym, a one wciąż jeszcze klęczące przyjmą z jego łaskawych rąk rozkwitłą gałąź niby pierwszą komunie. Taka jest nieodparta dążność i taka niemożność w tym plugawionym błotnym szmalcem ciele, wśród pojękliwe, dychawicznych pęcherzyków, co się wydobywają na powierzchnię trzęsawiska. A może natchniony inną zbawienną gorączką, która równie oczyszczająca jak żrąca soda albo gorzka sól, przyjdzie ów bagiennik nad wiecznie równoległe szyny, napotka człowieczą kukłę, manekina, mistrzowskie dzieło trzech wyrostków i weźmie owo za smutnego straceńca, odgadnie jego duszę, zapłacze nad jego życiem, które jak dżdżownica sama niewiedząca, co czyni, znajduje wytchnienie na polerowanej wstążce szyn już rozedrganych, już pulsujących niewstrzymanym rozpędzeniem. Poleży tak sobie z wiernym manekinem czas jakiś, zdrowo się wynudzi i pójdzie w ślad za wyrostkami, co splunawszy na nieskazitelność naszego kolejnictwa, opuścili rów i udali się do miasta, by podłużyć spodnie. I pójdzie tak za nimi obojętnie markotny, bo tak naprawdę to mu nie zależy, by podzielić z kimkolwiek smutny lub radosny los, tak jak mu nie zależy, by wreszcie dogonić przechodzące mimo trzęsawiska dziewice - ot tylko uczeplił się tej myśli, bo trzeba mieć w życiu jakąś zachciankę, by za nią podążać. Wróci więc do miasteczka, kiedy już mrok na dobre zgęstnieje i chociaż go swojskie psy obszczekają, zupełnie innym, już nie błotnym, lecz niezmiernie godnym krokiem, w pełni swej garniturowej urody przekroczy od tyłu próg ceglanej apteki, by zmienić za kontuarem swą apatyczną żonę. Stanie więc za tym kontuarem on, bagiennik, aptekarz spokojny, zapięty na ostatni guzik, by uczonym wzrokiem śledzić receptury, wyznaczone przez podobnych mu, rozumnych, wykształconych ludzi. I mógłbym to wam tak zakończyć, byście o ludzkich rozmaitych zamiarach i dziwnościach przez czas jakiś w zastanowieniu rozważali, ale zakończę wam inaczej. Każdy ma swojego capa, ludzie mówią – świra. Ja na przykład, gdy już pozamykam szafki z lekarstwami, usystematyzuję recepty, podliczę kasę, lubię poprzymierzać sobie ludzkie skóry. Zakładam je sobie z ciekawości, ponoszę chwilę i już wiem, jak mi bardzo w nich niewygodnie. W lustrze jak panna nie stoję, a jednak przyglądam się sobie obcemu, co siedzi pod moją nową skórą. Źle się czuję, dopóki nie założę skóry, która mnie ciekawi, bawi, a choćby i drażni. Kiedy już bardzo trzeszczy i w szwach się pruje albo zwisa pomarszczona, za obszerna, przejdę w niej parę kroków i zrzucam zużyta. Ale mi potem lepiej, pełen jestem otuchy, bo mam czego szukać - skóry, która wreszcie będzie dopasowana, równiutko przylegająca, napięta i świeża. Nie dziwcie się zbytnio, że kiedyś w wędrówce przez kraj mój przepiękny, na północno-wschodniej

jego rubieży, zboczyłem nieco koło mostku i widząc w miejscowym bagienku człeka radośnie zanurzonego, pływającego się ochoczo i bez obawy, i ja co prędzej szat się mych zbywszy, zaraz się do połowy zapadłem w trzęsawce. Pożerało mnie coś soczyście miękkiego, wchłaniało w głąb swej elastycznej materii, puszczało bąki jak stara Barbarka. Po wierzchu rozlał się zielony liszaj, z nie do końca zastygłej, brudnej galaretki wystawały zbutwiałe łapska duchów bajorkowych. Za mną gulgnęła ropucha wielkości zajęcia, między nogami rdzawym zygzakiem przemknął jakiś wężowaty cień. Zapadałem się miękko, zadowolony z niepewności gruntu. Z natury jestem chwiejny i niekonsekwentny, nie znoszę zbyt twardego podłoża i absolutnej pewności. Wciągało więc mnie w głąb szalenie łatwo, chociaż powolutku. I byłbym może spokojnie dokonał żywota, gdyby przez dłuższy czas osłupiały ze zdziwienia kolega, kresowy bagiennik, nie rzucił się na mnie z krzykiem wśród bulgoczącej melasy i nie chwycił mazistymi palcami za moje bujne włosy, wrzeszcząc - precz stąd ohydny plagiatorze! Ciągnął mnie z trudem za sobą, dyszał, charczał najgorszymi wyzwiskami, a szły natenczas wiejskie z pewnością prawiczki, które nas widząc, z uciechy aż przysiadły, bo czegoś podobnego nie były sobie w stanie wyobrazić. Więc już na twardym brzegu przewracaliśmy się cali nadzy, błotem upiększeni i byłbym może zmógł chudziaka, gdyby mnie nie zamroczył widokiem potężnego węża, który mu się zapewne w bagnie między nogami uczepił. Powalony tym nadprzyrodzonym zjawiskiem, czekałem, aż mnie dobije, ale on wstał nieoczekiwanie, chwycił węża oburącz, w garście, i z płaczem uciekł leśną drogą. Zobaczyłem, że panny, jako nowemu, nieskromnie mi się przyglądają, dałem więc również susa między pobliskie, karłowate sosenki.

Po jakimś czasie od tego wydarzenia ogólnie szanowany aptekarz z niewiadomych przyczyn wyniósł się ze swego spokojnego miasteczka z całą rodziną na odległe kresy, gdzie się rozciąga urokliwa kraina, pełna zastępów leśnych, manowców, uroczysk, niezliczonych jezior i prawdziwych soczysto-mięsistych trzęsawisk, znacznie bardziej pociągających niż te zarastające torfem oczka wodne, niezbyt odległe od miejskich aglomeracji. Zdomowił się na tym bujnym terenie, wrósł w ten oszałamiający pejzaż, który go niemal w siebie nie wessał, i trwał tak na swym bagiennym posterunku, już raczej nieruchomy, bo go zmógł reumatyzm, a może zaplątał się we własne korzenie. Utkwił głęboko w podłoże i nie był już w stanie wydobyć się na powierzchnię. Nawet nosiłem się z zamiarem, by go zastąpić w trwaniu bagiennym, skoro się już wybrałem na te nieprawdopodobne kresy, lecz nieoczekiwanie uświadomiłem sobie, że tak naprawdę to ja

nie jestem żadnym aptekarzem, jeno z lekka rozchwianym narratorem, który się tylko czasem lubi utożsamić z bohaterem. I już w miejscu, gdzie się otwierała przede mną kipiela bagienna mojej wyobraźni, powiodłem dookoła smutnym wzrokiem, rozplakałem się rzewnie, zaniechawszy czynu. Zrezygnowałem. W obecnej dobie nie miałbym już tej przyjemności. Jestem przecież indywidualistą i lubię robić wrażenie, zwłaszcza na płci odmiennej. A jakąż dziewczynę może dziś poruszyć nagość bagiennika pod miasteczkiem, w którym punktualnie zatrzymuje się transkontynentalny ekspres, a wyrostki nie szukają już swojej wielkiej szansy w tragedii manekina, lecz prawdziwych ludzi układają na torach. Ach, któż się może przejąć moją postacią bagienną, skoro całe plantacje samozwańczych bagienników sterczą gromadnie coraz niżej nad powierzchnią błota. I tylko czasem czyjaś ręka plaśnie w ostatnim uniesieniu i jakiś biały gołąbek sfrunie znad zwierającej się z pomlaskiem topieli.

